

Profesor Ryszard Engelking
16 XI 1935 — 16 XI 2023



Pożegnania podczas pogrzebu – Powązki Wojskowe, 4 XII 2023	3
Anna Engelking, <i>Ryszard Engelking. Wspomnienie córek</i>	3
Paweł Strzelecki, <i>Pożegnanie Ryszarda Engelkinga</i>	8
Helena Teleżyńska, <i>Dziadek. Wspomnienie wnuczki</i>	11
Wspomnienie	13
Stefan Jackowski, <i>Ryszard Engelking 1935–2023</i>	13

Pożegnania podczas pogrzebu – Powązki Wojskowe, 4 XII 2023

Ryszard Engelking. Wspomnienie córek

Anna Engelking

Nasz Ojciec odszedł dwa i pół miesiąca po naszej Mamie. Tak często bywa z małżeństwami o długim stażu. W czerwcu Rodzice obchodzili 65 rocznicę ślubu. Równoległe z nimi odszedł też ich jamnik-staruszek. W trzech krótkich aktach skończył się nasz dom. Formuła „rodzina Engelkingów” straciła odniesienie.

Ojciec odchodził świadomie, z właściwą sobie klasą. W ciągu ostatnich tygodni analizował i przewartościowywał swoje życie. Robił rachunek sumienia. Podsumował go słowami: „Umieram spokojny i pogodzony, bardzo kochając Matkę”. Było jasne, że się do niej spieszy. Kilka dni temu wzięłam do ręki egzemplarz jego przekładu *Ostatniej przygody czterdziestopięcioletniego mężczyzny* Retifa de la Bretonne, który stoi w bibliotece Mamy. Widnieje na nim dedykacja: „Krystynie – mojej pierwszej i ostatniej przygodzie, Ryszard”.

Wracając myślami do przeszłości, Ojciec przywoływał rodzinny dom w Sosnowcu i osoby, które szczególnie zaważyły na jego życiu. Ojca i matkę, brata Edzika, swoich wujów, nauczycieli, przyjaciół i uczniów. Żonę i córki. Opowieść tę lubił komentować przekazany przez legendę rodzinną powiedzonkiem prababki: „tout passera” – wszystko minie.

Ojca ojciec, Edward Engelking, był oficerem, rotmistrzem w 15 Pułku Ułanów Poznańskich. Aplikował Edzikowi i Rysiovi żołnierskie wychowanie, którego metodami były m. in. poranne mycie się w zimnej wodzie i bicie trzcinką, gdy któryś z chłopców coś przeskrobał. Synowi oficera nie wolno było przejawiać słabości. Uczucie okazywał chłopcom zupełnie wyjątkowo – nasz Ojciec miał tylko dwa, drogocenne dla niego, wspomnienia takich momentów.

Krótkie przedwojenne dzieciństwo, wypełnione obrazami niesfornego brata, którego natura była głęboko sprzeczna z metodami wychowawczymi ojca, babci, która nazywała Rysia „małym Salomonkiem”, opiekunki Władzi i jej piosenek z *Qui pro Quo*, znajomych rodziców, którzy wieczorami przychodzili na brydża i psa Mikusia, z którym nie wiadomo, co się stało po wybuchu wojny, Ojciec puentował refleksją: „To był szczęśliwy dom nieszczęśliwych ludzi. Formy były zachowane, ale serca było mało”.

Z nastaniem wojny Niemcy zarekwirowali, wraz z całą posesją, mieszkanie w domu, należącym do rodziny od początków funkcjonowania w Sosnowcu Drogi Żelaznej Warszawsko - Wiedeńskiej. Dziadek znalazł się w konspiracji, był kwatermistrzem Inspektoratu Sosnowiec Okręgu Śląskiego ZWZ. Ale przyszła galopująca gruźlica i Ryś w wieku 6 lat stracił ojca. Zapamiętał scenę, gdy zasypiając, widział ojca i kilku panów stojących wokół stołu. Stał tam krucyfiks, panowie coś mówili i całowali pasyjkę. Jego ojciec po wykonaniu tego gestu odszedł do łóżeczka syna i pocałował go w czoło – czego wcześniej nie robił. Dopiero po latach Ryszard zrozumiał dramat, z jakim łączyła się konspiracyjna przysięga ojca.

Po jego śmierci zamieszkali z matką w pokoju bez kuchni i łazienki, wynajętym od rodziny dorożkarzy. Chłopcy uczyli się na tajnych kompletach, Ryś rozpoczął kurs szkoły powszechnej pod kierunkiem Cioci Tyni – Leontyny Engelking, przed- i powojennej sosnowieckiej nauczycielki. Pochłaniał książki, zapoznał się między innymi z całą serią pożyczanych od sąsiadów powieści dla dorastających pańienek. Matka, Antonina z Gostomskich – dla nas Babcia Tola – utrzymywała ich z wyprzedaży rzeczy i z pośrednictwa w nielegalnym handlu. Ojciec mówił o biedzie, nawet nędzy, i podkreślał, że matka zносиła ją z wielką klasą. Ratowała rodzinę, nie

tylko na poziomie materialnym, ale i symbolicznym. Opowiadał o galaretkach z poziomkami. Był to przysmak jego wuja. Galaretka, zrobiona przez Tolę, zawsze czekała na przyjazdy brata do domu. W czasie okupacji nie wiadomo jak zdobywała poziomki i robiła synom słodkie galaretki. Umiała się znaleźć w każdej sytuacji – mówił Ojciec. W ostatnim okresie niejednokrotnie podkreślał, że miał wspaniałą matkę, czego wcześniej nie uświadamiał sobie tak jasno. W oficerskiej postawie ojca też dostrzegał coś imponującego, choć zarazem ambiwalentnego: „Jego wiedza o tym, jak się mężczyzna zachowuje w różnych sytuacjach, była w dużym stopniu fałszywa. Ale jednocześnie miała w sobie pewien patos. Patos połączony z groteską” – mówił. Nasz Ojciec uwewnętrznił patriarchalny wzór męskości, symbolizowany hasłem dziadka: „chłopcy nie płaczą”, choć zarazem, co było wspaniałe, potrafił brać ten wzór w nawias i poddawać krytycznej refleksji.

Po wojnie, w 1946 roku, Babcia Tola odzyskała w przedwojennym mieszkaniu trzy pokoje bez kuchni (za to z łazienką); dwa pokoje z kuchnią, ale bez łazienki, dostały dwie repatriantki ze Lwowa. W tym układzie rodzina mieszkała do wyburzenia domu na przełomie lat 60. i 70., gdy sosnowiecką ulicę ongiś Główną, później i dziś 3 Maja, a wówczas, w okresie PRL-owskim, Czerwonego Zagłębia, objęła gomułkowska modernizacja. Mieszkanie i dom w Sosnowcu powracały do Ojca w snach do ostatnich jego dni, a więź z Sosnowcem pielęgnował, śledząc treści zamieszczane w sieci, zwłaszcza w witrynie Klubu Zagłębiowskiego, oraz gromadząc i rekomendując córkom literaturę o mieście. Jego nazwisko można znaleźć na listach wybitnych sosnowiczian.

W 1952 roku, w gimnazjum im. Staszica, Ojciec zdał maturę, ale ważniejsze było to, że został laureatem I Ogólnopolskiej Olimpiady Fizycznej (17 miejsce w kraju), co dało mu możliwość studiowania fizyki na dowolnej uczelni. Wybrał Uniwersytet Warszawski i niebawem zamieszkał w 13-osobowym pokoju w akademiku przy Placu Narutowicza; z nim razem m. in. późniejsi profesorowie, bracia Białynicki i Ryszard Rączka. O Szczepanie i Iwie Białynickich mówił, że swoje duchowe pokrewieństwo rozpoznali od razu, bo byli jedynymi chłopcami, którzy umieli grać w brydża. Przyjaźń zawarta na I roku fizyki towarzyszyła Ojcu i Mamie przez całe życie – bo to wtedy właśnie spotkali się nasi Rodzice. Rok później, pod wpływem Szczepana, Ojciec przeniósł się na matematykę; wkrótce w ich ślady poszła Mama.

Matematycznej ścieżce Ojca towarzyszyło od samego początku konsekwentnie pielęgnowane zainteresowanie literaturą francuską. Miłość do języka i kultury francuskiej zawdzięczał nauczycielce z gimnazjum, ale też europejskiej orientacji i ukierunkowaniu intelektualnemu rodziny. Grały tutaj rolę pamięć i legenda prababki, Anny Porębowiczowej, pielęgnowanej kulturę Wiednia i Paryża, i jej syna, romanisty Edwarda, wybitnego tłumacza i profesora literatury na uniwersytecie we Lwowie, ale zasadnicze znaczenie miał bezpośredni wpływ dwóch osób, które, jak podkreślał Ojciec, wychowały go do kultury. To starszy o sześć lat brat Edzik, niezastąpiony kompan do żartów słownych, przewodnik po muzyce i literaturze – obaj zaczytywali się m. in. przekładami Boya. Drugi był wujek Stefan Porębowicz, którego erudycja i obycie stanowiły obiekt podziwu, wręcz uwielbienia młodego Ryszarda. „On mnie ukształtował” – mówił o wujku. Dużo później, w latach 90., podobną wagę miała dla Ojca przyjaźń z Juliuszem Wiktorem Gomulickim; pamiętam ich długie rozmowy telefoniczne i zapewnienia Ojca, że Pan Gomulicki wie wszystko o książkach i o Warszawie.

Dla chłopaka bez ojca szczególne znaczenie miały jeszcze dwie inne ojcowskie figury. Brata matki, mieszkającego od lat 20. w Stanach Zjednoczonych Adama Gostomskiego, który był legendą jego dzieciństwa, Ojciec poznał osobiście dopiero w latach 60., gdy znalazł się w Seattle jako visiting professor. Wujek Adaś, ekonomista, zaangażowany w polityczne i pomocowe działania administracji amerykańskiej w Europie, ucieleśniał wzór człowieka ciężko pracującego, który bierze odpowiedzialność za innych, przy tym wyjątkowo skromnego i wrażliwego.

Wspierał materialnie i moralnie swoją owdowiałą siostrę do końca jej życia, troszczył się również o rodziny jej synów. Nasz Ojciec reprezentował analogiczny model odpowiedzialności za rodzinę, podobnie też jak wujek wyjątkowo niechętnie mówił o własnych osiągnięciach. Do końca był zresztą bardzo krytyczny wobec siebie; swoje dokonania kwitował autoironiczną formułą: „poniżej rotmistrza”. Pochwały go kępowały. Jak mi powiedział, z tego powodu nie zgodził się, by zorganizowano poświęcone mu seminarium na zakończenie pracy na uniwersytecie.

Drugim wzorem Ojca był Profesor Kuratowski. W bardzo osobistym wspomnieniu o nim pisał: „Cały mój rozwój naukowy i całe moje dojrzewanie jako człowieka przebiegały w stałym odniesieniu do niego. [...] Wszystkie jego uczynki, słowa, gesty miały jakąś doniosłość, nie umiał robić rzeczy bez zn”. Kiedyś Ojciec powiedział: „Od moich mistrzów nauczyłem się także wystrzegać ich wad”. Zapytałam go wtedy o Profesora Borsuka. Odpowiedź brzmiała: „Borsuk nie miał wad”.

Profesor Kuratowski często pojawiał się w rozmowach przy rodzinnym stole. Kiedy byłam dyrektorką instytutu PAN-owskiego i przytłaczały mnie trudności wiążące się z tą funkcją, przychodziłam do Ojca po radę i łyk powietrza. Sięgał do własnych doświadczeń z okresu dyrektorowania, ale też przywoływał Kuratowskiego: jego gry z komunistyczną władzą, ironiczny dystans i niezłomność etyczną. Mówił też ze wzruszeniem o stosunku Profesora do niego. „Kiedy zrobiłem magisterium, Kuratowski mówił o mnie magister Engelking. Po doktoracie – doktor Engelking. Gdy zostałem profesorem, zaczął się do mnie zwracać «Panie Ryszardzie»”. W trudnych chwilach Ojciec zadawał sobie pytanie: „Co by zrobił Kuratowski w tej sytuacji?”. Podobnie jak: „Co by w tej sytuacji zrobiła moja matka?”.

W 1958 roku Rodzice wzięli ślub i zamieszkali z rodzicami Mamy w fińskim domku na nieistniejącym już dzisiaj osiedlu przy Wawelskiej. W ciągu kilku lat pojawiły się córki: najpierw Ania, potem bliźniaczki Basia i Ewa. Z naszego pokoju, który zajmowaliśmy w piątkę, pamiętam stojące wysoko na szafie Czytelnikowskie wydanie „Komedii ludzkiej” w jasnozielonych obwolutach. Ojciec lubił przypominać historię o tym, jak kiedyś – to nie brzmi poprawnie politycznie – miałam dostać klapsa. Spojrzałam w górę i powiedziałam: „Ale mamy dużo Balzaczków!”. Rzecz jasna, kara nie została wymierzona.

Po przeprowadzce do mieszkania na Bruna, w którym Rodzice mieszkali przez 60 lat, jeden pokój stał się gabinetem Ojca. Był to bardzo minimalistyczny gabinet. Stale stoją w nim to samo biurko, przykryte planem XVIII-wiecznego Paryża pod szkłem, ta sama szafa i te same półki; przybywało tylko książek. Na drzwiach wisiły rysowane przez nas, dzieci, kartony z napisem „Proszę nie wchodzić, Tata pracuje”. Czuliśmy się skrzywdzone; Mama wszak była dostępną. Dużo później zrozumiałam, że to był jedyny sposób, żeby Ojciec mógł się skoncentrować na pracy – a przecież nad matematyką i nad literaturą pracował głównie w domu.

Z takim trybem funkcjonowania łączyło się to, że czas, który spędzał z nami, był czasem dobrej jakości. Wymyślał dla nas bajki. Pamiętam cykle *Pełna przygód i niebezpieczeństw podróż babci dookoła stołu*, *O śmiertelnym skoku dziadka przez zapalkę* i *Przygody Króla Migdałowego*. Gdy ukazało się drugie wydanie *Polskiej bajki ludowej w układzie systematycznym* Krzyżanowskiego (1962–63), kupił oba tomy, by czerpać inspiracje z motywów bajkowych. Nie da się ukryć, że charakteryzowało go gruntowne podejście do wszystkiego, co przedsiębrał. Ewa z Basią w dzieciństwie marzyły o psie, rodzice nie chcieli się zgodzić – ale Ojciec w czasie swoich dyżurów przy dzieciach (dwa razy w tygodniu) podjął się udawać psa: i faktycznie chodził na czworakach, czekał i pozwalał się karmić słodyczami. (Zawsze lubił słodyczne). Lubiliśmy też zabawę w książkową ciuciubabkę: Tata z zasłoniętymi oczami odnajdywał wskazane przez nas, nawet najgłębiej schowane książki w swojej bibliotece. Naszej najmłodszej siostrze Marysi poświęcał szczególnie dużo uwagi. Tworzył dla nich dwojga osobne, fantastyczne światy



Nasz Ojciec, 1995.

historii i zabaw. Gdy była większa i całkiem dorosła, dużo chodzili do kina i teatru, też razem z Mamą i przyjaciółmi rodziny. Raz nawet zabrał Marysię do Paryża, co nie było oczywiste, bo zwykł tam jeździć sam; obowiązkowo co roku.

Ojciec wychowywał nas na *Pegazie dęba*, *Słówkach*, *Zielonej gęsi* i Edwardzie Learze, uwielbiał złośliwe i niecenzuralne wierszyki i powiedzonka, podszyte absurdalnym humorem. Kiedy byliśmy małe, próbował utrzymywać nas w przekonaniu, że topologia to nauka o topolach. Ale głównym obszarem jego zamiłowań literackich była poezja i proza przez duże P. Deklamował nam i czytał Jasińskiego i Leśmiana, Bursę i Mickiewicza, Gałczyńskiego i poetów rosyjskich w oryginale. Uczył czytać *Nędzników* i *Lalkę*, a później *Mistrza* i *Małgorzatę* i *Panią Bovary*. Uczył też słuchać poezji śpiewanej: z Moskwy przywiózł taśmy z nagraniami Okudźawy, których słuchaliśmy na szpulowym magnetofonie, z Paryża przyjeżdżały płyty: Brassens, Brel, Piaf, Gainsbourg. Z jego pokoju dobiegały też piosenki Osieckiej, Demarczyk i Starszych Panów. Czasem słuchał ich razem z grupą swoich doktorantów, których zapraszał na prywatne seminaria.

W pewnym momencie w domu zaczęły się pojawiać amerykańskie puzzle i gry planszowe. Rodzinny rytuał wspólnego grania, czasem łączony z fondue albo z obiadem ciastkowym, bywał celebrowany i w czasie roku szkolnego, i podczas wakacji, spędzanych od końca lat 60. w Murzasichlu. Później Ojciec jeździł tam sam, regularnie w czerwcu i wrześniu, zawsze do tej samej gaźdżiny; ostatni raz pięć lat temu. Dobrze mu się pracowało, gdy mógł łączyć

pracę w ciszy z długimi spacerami po swoich stałych trasach: do Toporowych Stawków, na Psią Trawkę albo przez Koślową Grapę do Poronina.

Ojciec wyposażał nas na samodzielne życie w kapitał przede wszystkim symboliczny, trwalszy niż ten materialny. Rzeczy nietrwałe to była, jak mówił, „dorożnaja pyl”. Choć dawał nam też solidne ojcowskie prezenty, jak maszyna do pisania na magisterium. Sam wydawał pieniądze głównie na francuskie książki i intrologatorów.

Nie wchodziło w grę, żeby Ojciec nie dotrzymał umowy, czy żeby się spóźnił. Tego samego wymagał od córek, a potem wnuków. Słowa, które go definiowały, to samodyscyplina, konsekwencja, systematyczność, odpowiedzialność. Za jeden z większych występków pochytywał marnowanie czasu. Na każdy dzień wyznaczał sobie „porcję” – czy to pracy nad matematyką, czy to lektury, czy tłumaczenia. Dzień zaczynał półgodzinną gimnastyką i spacerem z psem, a kończył godzinnym nie tyle spacerem, ile obchodem, bo tak, za Retifem, nazywał ten rytuał. Były lata, że w obchodach towarzyszyła mu Marysia.

Ale miał też głębiej skrywaną, delikatną część siebie, do której nie wszyscy mieli dostęp. Swoją wrażliwość, dobroć i wstydlivość uczuć lubił chować pod żartem albo cytatem. Maskować charakterystycznym poczuciem humoru. Wzruszały go psy z ich bezwarunkową miłością. Ważna była dla niego przyroda. To on wprowadził mnie, dziesięcioletnią, w Tatry, choć jęczałam, że bolą nogi i trzeba iść pod górę.

Był czuły na detal, na szczegóły i obrazki z życia, które przeżywał przez pryzmat swego niewyczerpanego zasobu skojarzeń literackich. Zawierał znajomości z ludźmi na osiedlu, w których widział typy Baudelaire'owskie, którym współczuł, czy którzy go zaintrygowali sposobem mówienia. Kolekcjonował powiedzonka gazdy w Murzasichlu. Życie i literatura stały blisko siebie; posłyszane wyrażenia użytkował w przekładach. Opowiadał rodzinną historię o starej żebracze-pijaczce, która przychodziła regularnie do jego babci i prosiła o jałmużnę słowami: „Niech no pani co wyrzuci, tak mnie boli na wnętrzu”. Zamieścił tę frazę w przekładzie *Pani Bovary*. Idąc w ślady Retifa, zostawił nam „swoje napisy”: telegraficzne notatki pod datami dziennymi w kalendarzykach z kilkudziesięciu lat. Na ich podstawie da się odtworzyć z dużą dokładnością dzieje rodziny z przebiegiem pracy Ojca splecione.

W ostatnich tygodniach dużo myślał i mówił o poezji. Przychodziły do niego pamiętane wiersze. Zmienił swoją dawniejszą opinię o *Sadzie rozstajnym* Leśmiana i liście Tatiany do Oniegina; teraz dostrzegał w nich nowe głębie. O swoich wizjach pojawiających się na pograniczu snu i jawy mówił, że są jak poezja Nerval'a.

Oczywiście miewaliśmy z Ojcem konflikty i spięcia – i my, i Mama. Bywał trudny na co dzień. Nie był wylewny, przeciwnie – ale jednak w pewnym momencie usłyszałyśmy od niego, że jest z nas dumny. Cieszyła go i interesowała nasza praca. Szczególne miejsce zajmowała tu Basia – uważał, że robi to, co zaniedbało jego pokolenie i że sam nie miałby tyle odwagi, co ona. Czytaliśmy nawzajem swoje teksty. To była prawdziwa frajda czytać jego eseje czy fragmenty przekładów i czasem zrobić jakąś uwagę, którą przyjął.

Własną emocjonalność Ojciec przysłaniał cudzymi słowami, które oddawał w słowach ojczystego języka z czytelnymi dla bliskich śladami swojej indywidualności. Bo przecież właśnie słowo było jego żywiołem. Znaleźć właściwe słowo i dobre zestawienie wyrazów, udatnie przetłumaczyć wiersz czy ułożyć dowcipny własny – to go uszczęśliwiała, bawiło, albo jedno i drugie. Myślę, że jego drogą było dążenie do piękna, piękna często skomplikowanego i nieoczywistego, którego szukał i w matematyce, i w literaturze, i w języku, i w świecie. W pracy intelektualnej i w miłości.

„Mieliśmy niebrzydkie życie” – podsumował w jednej z naszych ostatnich rozmów.

Zostanie częścią nas.

Pożegnanie Ryszarda Engelkinga

Paweł Strzelecki, Dziekan Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW

Szanowni Państwo,

wbrew słowom, jakimi mnie zapowiedziano, nie byłem współpracownikiem profesora Engelkinga w ścisłe matematycznym sensie tego określenia. Żegnám go jako urzędujący dziekan Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego, w imieniu całego środowiska matematycznego.

Ryszard Engelking jest przedstawicielem odchodzącego właśnie z wolna pięknego pokolenia matematyków z Uniwersytetu Warszawskiego, urodzonych w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Należeli do tego pokolenia m.in.: wspomniany już tu dziś jego kolega z roku, Andrzej Szczepan Białynicki-Birula; starszy od nich obu o rok Jerzy Browkin; a także starsi o dwa lata od Browkina przyjaciele, Czesław Bessaga i Aleksander Pełczyński. Nie mogę powstrzymać się od osobistego komentarza: na pogrzebie Aleksandra Pełczyńskiego, w tym samym miejscu, tylko prawie dokładnie dziesięć lat temu, mogliśmy słuchać tych samych, co dziś przed rozpoczęciem uroczystości, dźwięków i fraz Agnieszki Osieckiej z piosenki o okularnikach; może więc Engelking, Pełczyński i wielu ich kolegów nie tylko matematykę i okulary mieli wspólne? Należał wreszcie do ich pokolenia Bogdan Bojarski, starszy od Bessagi i Pełczyńskiego o rok, też pochowany tu, na Powązkach Wojskowych; o nim jeszcze wspomnę później. Temu pokoleniu — pokoleniu nauczycieli, mistrzów i przywódców — obecna matematyka uprawiana w Polsce zawdzięcza znaczną część swoich mocnych stron.

Wysłuchaliśmy już słów o domu i dzieciństwie Ryszarda Engelkinga. W 1956 roku, mając 21 lat, ukończył studia na UW i zaczął karierę zawodowego matematyka. Przez 16 lat, do 1972 roku, pracował w Instytucie Matematycznym PAN; tam w 1961 roku zrobił doktorat pod opieką Kazimierza Kuratowskiego. Od 1 października 1972 do 28 lutego 2007 pracował na naszym Wydziale. Był m.in. dyrektorem Instytutu Matematyki (w kadencjach 1981–1984 oraz 1996–1999), zastępcą dyrektora Instytutu Matematyki (1987–1990), kierownikiem Studium Doktoranckiego oraz przewodniczącym Rady Naukowej Instytutu Matematyki (1979–1981).

W archiwum UW, w teczce osobowej Ryszarda Engelkinga, zachowany jest m.in. jego życiorys, napisany w 1974 roku, krótko przed czterdziestką, dla potrzeb postępowania o nadanie tytułu profesora nadzwyczajnego. Jest to życiorys dojrzałego — chciałoby się też napisać: spełnionego, choć ponad połowa aktywnego i twórczego życia była wtedy jeszcze przed nim — i bywałego w świecie matematyka, którego historia jednak przeczy innej frazie Osieckiej, tej o Paryżach i Szanghajach, które podobno są nie dla nas. Oto kluczowe fragmenty tej stroniczki czystego, starannego maszynopisu:

... W roku akademickim 1961/62 spędziłem 6 miesięcy w Moskwie, współpracując z topologami radzieckimi (pod kierunkiem prof. P.S. Aleksandrowa).
W roku 1963/64 przebywałem 6 miesięcy w Paryżu jako stypendysta rządu francuskiego i brałem udział w seminarium prof. H. Cartana z topologii algebraicznej. (...)
W roku 1965 ukazała się moja książka "Zarys topologii ogólnej", zawierająca nowoczesny wykład tego działu. Rok 1967/68 spędziłem w Stanach Zjednoczonych, w Seattle, współpracując blisko z prof. E. Michaelem. (...)
Opublikowałem dotąd 37 prac poświęconych różnym zagadnieniom topologii oraz ok. 70 recenzji w Mathematical Reviews. (...) Jestem członkiem komitetów redakcyjnych Fundamenta Mathematicae (Warszawa) i General Topology and its Applications (Amsterdam).

Tego życiorysu mogłoby niepełna 40-letniemu Ryszardowi Engelkingowi pozazdrościć wielu znacznie starszych, utytułowanych matematyków; ja sam na pewno. Jego prace i książki, w tym słynna *Topologia ogólna*, światowa klasyka tej dziedziny, mają dziś 6 tys. cytowań w *Mathematical Reviews*; to wynik nieosiągalny dla większości twórczych matematyków.



Ryszard Engelking z Masayoshi Nagatą i Kazimierzem Kuratowskim, około roku 1970.

Z życiorysem sąsiadują w teczce dwie inne kartki. Jedna to kwestionariusz osobowy, druga stanowi swoisty znak tamtych czasów i nosi tytuł *Informacja na temat działalności społecznej i politycznej Ryszarda Engelkinga*. W kwestionariuszu, w rubryce o znajomości języków obcych, widnieje wpis “rosyjski, francuski, angielski – biegła w mowie i piśmie”. Warto pamiętać, co ta biegłość oznaczała. Natomiast w *Informacji...* jego o cztery lata starszy kolega, ówczesny dyrektor IM UW, prof. Bogdan Bojarski, skądinąd członek PZPR, pisał tak:

Ryszard Engelking jest bezpartyjny, lecz jako wybitny matematyk i utalentowany pedagog nie szczędzi czasu dla studentów i młodych pracowników naukowych. Dzieli się z nimi swą wiedzą i doświadczeniem, odbywa indywidualne konsultacje, bierze udział w studenckim ruchu naukowym (...). Jego skromność, prostota zachowania i prawość charakteru wzbudzają powszechny szacunek i utwierdzają autorytet.

Dużo później, w 1992 roku, Bojarski – promotor mojego doktoratu – powiedział mi któregoś dnia przelotnie: *Tak, doktorat to mogą być wyniki z tych dwóch Pana opublikowanych prac, ale niech Pan to wszystko napisze jeszcze raz, po polsku. Panu to nie zajmie zbyt wiele czasu, a ja przy okazji zatwierdzania tematu na Radzie Wydziału nie będę musiał klócić się z Engelkingiem, że nie dbam o to, żeby młodzi pisali także w ojczystym języku.*

W 1996 roku Ryszard Engelking został ponownie dyrektorem Instytutu Matematyki. W tym czasie poznałem go nieco bliżej. Otóż, profesor Engelking postanowił na spotkania kolegium dyrekcji Instytutu zapraszać młodsze osoby. Zaprosił wtedy do siebie do gabinetu na osobne spotkania Piotra Hajlasza (dziś profesora w Pittsburghu) i mnie; każdemu z nas – jakeśmy potem ustalili – powiedział mniej więcej to samo: *Mają panowie nie zwracać uwagi na dystans wieku, stanowisk i tytułów, czyjekolwiek siwe włosy itp., tylko uczestniczyć w naszych*

rozmowach, a gdybyśmy mówili lub chcieli zrobić coś niedobrego czy głupiego — macie nam o tym mówić wprost. Gdy myślę dziś, jakim był przywódcą — bo wszak nim był, nie tylko podpisywał dokumenty czy podejmował decyzje w rutynowych sprawach — stwierdzam, że w pewnym sensie zajmował najwyższe miejsce w spotykanej czasem hierarchii typów ludzkich w tej roli: był mianowicie przywódcą niewidzialnym. Wiele osób mogło odnosić wrażenie, że różne rzeczy dzieją się dla dobra wspólnego bez jego nakazów czy może nawet bez jego udziału, choć to ostatnie nie było przecież prawdą.

Ostatni służbowy kontakt miałem z nim jesienią 2006 roku (potem już tylko z rzadka spotykałem go podczas spaceru, wracając czasem do domu piechotą przez Pola Mokotowskie). Byłem wtedy prodziekanem ds. studenckich, a on napisał do mnie następującego maila:

Szanowny Panie Dziekanie,

Chciałem osobiście przedłożyć Panu moją prośbę, ale Pana nie zastałem. A oto prośba: Listy przydziałów do grup z Topologii I* są tylko prowizoryczne. Do mojej grupy chodzi 18-19 studentów, a do prof. Toruńczyka chyba 11. Ja moich straszę, że tych, co się nie znaleźli na listach, Pan skieruje do drugiej grupy. Byłbym wdzięczny, gdyby Pan mógł choć w części zrealizować moją groźbę (możliwie szybko!), aby doprowadzić do jakiejś takiej równowagi obu grup. Kapulkiną jestem gotów przyjąć do siebie, bo mam z niego pociechę.

Łączę ukłony, Ryszard Engelking

Gdy po latach czytam ten liścik, słyszę jego głos jak dziś, pobrzmiewający z nutą ironii, żartu, powagi i lekkiego dystansu jednocześnie. A Krzysztof Kapulkin, z którego autor listu *miał pociechę*, sam jest teraz profesorem University of Western Ontario w Kanadzie.

Skromność, prostota zachowania i prawość charakteru Ryszarda Engelkinga, o których tak jasno i bez wahania pisał Bojarski, to coś, czego sam wielokrotnie doznałem. Takim go — skromnego, prawego, wybitnego matematyka i tłumacza — zapamiętam.



Rodzinie profesora Engelkinga, a w szczególności Basii i Ewie, moim szkolnym koleżankom, składam wyrazy głębokiego współczucia.

Dziadek. Wspomnienie wnuczki

Helena Teleżyńska

„Cegła waży kilo i pół cegły. Ile waży cegła?”. Tę i inne zagadki, o wadze pierza i ołowiu czy tempie zarastania stawu, zadawał Dziadek swoim wnuczkom mniej więcej od momentu, gdy skończyły trzy, może cztery lata. Wnuczka kombinowały usilnie, lecz na ogół bezskutecznie, aż w końcu dorosli łamali się i zaczęli podpowiadać.

Kiedy wnuczka rosły, zagadki logiczne ustępowały miejsca pytaniom o literaturę – około 15 roku życia. Dziadek raczej nie pytał „jak się masz?” lub „co u ciebie?”. Zamiast tego pytał „co ostatnio czytałaś?” lub, gdy się jeszcze podrosło, „nad czym dzisiaj pracowałaś?”. To drugie pytanie było dla niego szczególnie ważne w ostatnich tygodniach, kiedy sam już nie był w stanie pracować, i łapczywie wsłuchiwał się w niezbyt interesujące historie o korekcie i redakcji.

Wcześniej przez lata przychodziło się do Dziadków na herbatę i spowiadało z lektur, które oczywiście czytało się zawsze zbyt naiwnie, zbyt płytko, zbyt, jak powiedziałby Dziadek, prymitywnie. Nieważne ile dekad wcześniej Dziadek – i Babcia, która także była wielką czytelniczką – czytali rzeczoną książkę, i tak pamiętali lepiej ode mnie, która czytałam ją przed tygodniem, jej treść, postaci, symboliczne znaczenie.

Czytało się naturalnie to, co On podsuwał: Poego, Londona, Villiers de L'Isle-Adama, Baudelaire'a. Później nabierało się odwagi, żeby mieć własne zdanie i czasem się z Dziadkiem spierało. W moim przypadku przede wszystkim o Virginie Woolf, do której zresztą udało mi się go w końcu przekonać – planował, choć już nie zdążył, przeczytać nowe tłumaczenie „Pani Dalloway”.

Bardzo często okazywało się, że różnych książek, które Dziadek i Babcia znali doskonale, się nie czytało, i wtedy stawało się „tym dzieckiem”. Jeszcze podczas mojej ostatniej wizyty u Dziadka usłyszałam: „To dziecko nie czytało «Lorda Jima»!”. „Tym dzieckiem” można było zostać też w innych sytuacjach, gdy czymś się Dziadka zaskoczyło. Do dziś pamiętam jego słowa, które usłyszałam w 3 klasie gimnazjum: „To dziecko swoje najlepsze pomysły nazywa pomyłkami!”.

Dziadek miał jasne i twarde zasady. Życie nie polegało w jego oczach na poszukiwaniu szczęścia czy spełnienia, lecz na wypełnianiu obowiązków. Obowiązki na ogół związane były z pracą. Praca powinna, w miarę możliwości (w tym czasie, w którym ja go znałam) dotyczyć literatury. Literatura powinna być raczej francuska, raczej XIX-wieczna i raczej autorstwa mężczyzn niż kobiet.

Jego niewzruszone przekonania etyczne i estetyczne sprawiały, że był jak odwieczna latarnia morska, widoczna z daleka i w każdej pogodzie wskazująca rozbitkom drogę do domu. Choć może lepszy byłby obraz gorsetu, sztywnego gorsetu utkanego z nakazów i zakazów, z tego, co uznaje się w życiu za wartościowe i błahe, przekazywanego z pokolenia na pokolenie wśród innych rodzinnych pamiątek. Gorsetu, który tym, których nie uwiera, ułatwia trzymanie się prosto, lecz tych, na których miarę nie był szyty, może przyprawić o duszności i zawroty głowy.

Moje wcześniejsze skojarzenie z latarnią morską nie było przypadkowe, ponieważ Dziadek miał w sobie bardzo wiele z Pana Ramsaya z „Do latarni morskiej” wspomnianej już Virginii Woolf. Mężczyzna o wielkim umyśle, który w pogoni za Prawdą w swej bezlitosnej logice potrafi ranić innych, zapomniawszy, lub zaniedbawszy, że oprócz myśli ma też człowiek uczucia. Ale też człowiek skromny i niezwykle hojny, który garściami daje ze swojego czasu i wiedzy każdemu, kto wyraża zainteresowanie pokrewnymi tematami, o czym zaświadczyć może nie tylko jego rodzina, ale również jego obecni dziś uczniowie i studenci.

Jak Pan Ramsay, był Dziadek bezwstydnym patriarchą, choć bardziej niż Pan Ramsay gotowym uszanować inne poglądy. Po iluś dyskusjach na temat literatury pisanej przez kobiety i feminizmu w ogóle, Dziadek nabrał zwyczaju używania w mojej obecności feminatywów, obowiązkowo podkreślając za każdym razem ruchem ręki i szczególnym tonem poświęcenie, na jakie właśnie się zdobywa. Mówił mi więc na przykład kilka tygodni temu: „Szymborska czasem używa zbyt wielu gier słownych i dlatego niektórzy uważają, że jest pozerką”. Po czym powtórzył rozpromieniony: „Po-zer-ka!”.

Bo Dziadek w ogóle miał ogromne poczucie humoru i niezwykle dar opowiadania historii. Gdy myślę o wizytach u Dziadków, staje mi przed oczami, jak wszyscy przy stole śmiejemy się do łez z kolejnych Jego anegdotek, czy to z Jego własnego życia, na przykład o kawałach, jakie robił swojemu bratu, czy z życia swoich ulubionych pisarzy, którzy byli, myślę, jego wielkimi przyjaciółmi.

Na urodziny i imieniny Dziadek zawsze wysyłał swoim wnuczkom maila z tym samym wierszykiem, naturalnie z odpowiednio zmienionym imieniem: „Kochana Helenko, / W dniu Twego święta / Kochany Dziadunio / O Tobie pamięta”. Spontanicznym wierszem odpowiadał też na życzenia wysyłane mu z różnych okazji, na przykład tak odpisał mi w listopadzie 2014: „Dziadzio dziękuje, kłania się pięknie, / Niech nasza miłość nigdy nie pęknie”. A w styczniu 2017: „Ach dziękuję, ach dziękuję, / Chętnie pannę ucałuję. / Ale Babunia mówiła, że / Dopiero po sesji. / Czas się będzie dłużył! / Czym na to zasłużył?”.

Dziadek nie kochał literatury, on literaturą żył. Był wielkim miłośnikiem słowa, niezwykle wyczulonym na piękno, dźwięk i rytm, i pozostał nim aż do końca. Gdy z powodu choroby jego udziałem stały się nowe, nieprzyjemne i niepokojące doświadczenia, odnotowywał je z typową dla siebie analityczną precyzją i cieszył się, że je przeżywa, bo dzięki nim jest w stanie lepiej zrozumieć poezję Nerval'a.

Dziadek nauczył mnie, żeby literaturę traktować serio, a życie z przymrużeniem oka. Nie lubił niedokładności, ślepego podążania za modą i wyrażenia „na szybko”. Lubiał trociczki, dżem pomarańczowy i angielską herbatę.

Był wielkim Nauczycielem. Będzie go brakowało.

Wspomnienie

Ryszard Engelking 1935–2023

Stefan Jackowski

Profesor Ryszard Engelking (dalej Profesor) był jednym z trzech warszawskich matematyków, którzy istotnie zaważyli na moim życiu matematycznym. Pierwszym moim spotkaniem z matematyką przez duże “M” były wykłady prof. Krzysztofa Maurina z Analizy Matematycznej na I roku Fizyki. Zapewne od niego usłyszałem nieznane mi słowo “topologia”. Gdy w ofercie “Kursów zastosowań matematyki” znalazłem kurs topologii prowadzony przez wówczas docenta Ryszarda Engelkinga, udałem się go posłuchać. Nabyłem jego właśnie wydaną książkę “Zarys topologii ogólnej” i do dziś mam nieco zużyty egzemplarz. Kurs, organizowany przez IM PAN, odbywał się w Pałacu Kultury i Nauki. Wykład był ciekawy, a Profesor widząc moje zainteresowanie zasugerował, że mogę przychodzić na jego seminarium prowadzone na Wydziale MIM, mieszczącym się wówczas także w PKiN. Skorzystałem z zaproszenia i w zimowym semestrze roku akademickiego 1969/70 stałem się uczestnikiem seminarium. To pod wpływem wykładów dwóch tak różnych matematyków, profesorów Maurina i Engelkinga, zdecydowałem się zmienić kierunek studiów z fizyki na matematykę,

Gdy miałem wygłosić mały referat na seminarium, Profesor zaprosił mnie na konsultacje do swego mieszkania przy ul. Bruna, co odebrałem jako niezwykle gest i zaszczyt. Profesor siedział na tle ogromnego regału z książkami. Pokazał mi jego fragment i powiedział, że ta przestrzeń – a było to niewiele półek – jest przeznaczona na książki matematyczne. Resztę zajmowała literatura piękna, słowniki i encyklopedie. Wtedy dowiedziałem się, że jest koneserem literatury francuskiej, a Stendhala i Balzaca szczególnie. Zainteresowanie literaturą okazało się być znacznie wcześniejszej daty, i dotyczyło nie tylko literatury francuskiej. Kilka dni temu nasz wydziałowy kolega, informatyk prof. Ludwik Czaja, nieco młodszy od Profesora, opowiedział mi, że gdy był studentem, dr Engelking namawiał go do lektury książek niemieckiego pisarza Hermana Hesse. Jak twierdzi Wikipedia, w latach 1960. twórczość Hessego zyskała szczególną popularność wśród młodzieży z pokolenia hippisów. O te sympatie bym Profesora nie podejrzewał.

Podczas wspomnianej lub kolejnej rozmowy Profesor namawiał mnie do rozszerzenia zainteresowań w kierunku bardzo aktualnych w latach 1970. algebraicznych działów topologii. Polecił mi klasyczną książkę W. Hurewicza i H. Wallmana “Dimension Theory” poświęconą topologicznej teorii wymiaru, którą sam się wówczas interesowałem. Nieco później rzucił mnie na głębokie wody, polecając książkę E. H. Spaniera “Algebraic Topology”, tłumaczoną wówczas na język polski przez dwóch jego kolegów. Od Profesora dostałem w prezencie klasyczną książkę H. Cartana i S. Eilenberga “Homological Algebra”, która jednak nie przypadła mi do gustu, jak napisał mi wiele lat później. Natomiast książkę S. Eilenberga i N. Steenroda „Foundations of Algebraic Topology” zaliczył do najprzyjemniejszych lektur matematycznych.¹

W roku akademickim 1969/70 nie tylko uczyłem się na seminarium Profesora, ale także awansem na obowiązkowy dla III roku wykład z Topologii. Ustnego egzaminu nie wspominam dobrze. Profesor odpytywał z dowodów twierdzeń i w końcu złapał mnie na nieznanym dowodu pewnego lematu ze swojej książki. Uznał, że wobec tego nie należy mi się ocena bdb, a tylko db. Byłem nieco zawiedziony, że z mojego ulubionego przedmiotu będę miał tylko

¹ E-mail z dnia 3.VIII 2021

czwórkę. Uczęszczałem na seminarium do końca roku 1970/71. Równoległe, wraz z kolegą z tego seminarium – Krzysztofem Nowińskim – założyliśmy prywatne seminarium samokształceniowe z topologii algebraicznej.

Wspaniałym finałem mojego uczestnictwa w seminarium z topologii ogólnej był wyjazd grupy seminaryjnej do uniwersytetu moskiewskiego (MGU) w maju 1971 r. na zaproszenie profesora MGU A. W. Archangielskiego, z którym Profesor utrzymywał kontakty naukowe.² Moskwa była wówczas jednym z czołowych ośrodków matematycznych świata. Za osiągnięcia w zakresie topologii algebraicznej młody profesor MGU S. P. Novikov otrzymał medal Fieldsa w 1970 r. Wróciłem z Moskwy z kilkoma egzemplarzami kultowego skryptu „Gomotopieczkaja topologia”, którego autorami byli D. B. Fuks, A. T. Fomenko i V. L. Gutenmakher, i pod wielkim wrażeniem spotkań ze studentami i doktorantami MGU. Dzięki kontaktom nawiązanym podczas tego wyjazdu udało się ożywić wymianę studencką z MGU i w kolejnych latach, wyjeżdżając do Moskwy, mogliśmy słuchać wykładów świetnych rosyjskich matematyków.



Ryszard Engelking, 1970.

Opisane okoliczności nie wyczerpują wpływu Profesora na moje matematyczne losy. Dzięki niemu poznałem trzeciego matematyka, którego rola w moim matematycznym życiu była kluczowa – prof. Andrzeja Białynickiego-Birulę (dalej ABB lub Szefa). Przyjaźnili się od czasu,

² Wyjazd do Moskwy Profesor opisał w artykule: R. Engelking „Studenckie sympozjum z topologii ogólnej w Moskwie”, *Wiadomości Matematyczne* XV (1972), 101-102.

gdy na I roku studiów zamieszkali w 13-osobowym pokoju w Domu Akademickim na pl. Narutowicza. Profesor z wielką estymą mówił mi o przyjacielu. Zasugerował, żebym udał się w roku 1970/71 na wykład monograficzny ABB pt. "Metody algebraiczne w matematyce". Rok później grupa studentów zainteresowanych topologią algebraiczną zwróciła się do ABB z prośbą, aby "zalegalizował" nasze prywatne seminarium z topologii algebraicznej, zmieniając jego status na oficjalne seminarium magisterskie pod jego kierunkiem. Od tego czasu ABB został dla mnie Szefem.

Przez wiele kolejnych lat nie miałem bliższego kontaktu z Profesorem, choć pracowaliśmy na tym samym Wydziale. Następnym ważnym momentem, w którym Profesor jeszcze raz zaważył na kolejach mojego życia akademickiego, nastąpił jesienią 1990 r. Po zmianie ustawy o szkolnictwie wyższym przewidującej wybory dziekanów, zostałem kandydatem na dziekana WMIM popieranym przez "Solidarność" i część profesorskiej "starszyny". Opozycja przeciwnej mojej kandydaturze była jednak silna i kolejne głosowania indykacyjne nie doprowadzały do rozstrzygnięcia. Po którejś rundzie głosowań Profesor zabrał głos. Powiedział, że rozumie rozmaite wątpliwości co do mojej osoby, ale trzeba zaryzykować. Jego głos przesądził o tym, że zostałem wybrany. W fotelu dziekana, w trudnych latach transformacji, spędziłem niemały kawałek życia.

W czasie mojej pierwszej kadencji w 1991 roku Wydział MIM przeniósł się do obecnej siedziby przy ul. Banacha. Zaproponowaliśmy profesorom jednosobowe pokoje na parterze w tzw. alei zasłużonych, stanowiącej azyl od toczących się na piętrach prac modernizacyjnych. W odpowiedzi, z właściwą sobie skromnością, Profesor zapewniał, że wystarczy mu wieszak na płaszcz. Po pewnym czasie zmienił zdanie, być może pod wpływem ABB, który co dzień pracował w swoim pokoju. Wygospodarowaliśmy pokój dla Profesora niedaleko pokoju ABB. Zaglądając do Szefa, często spotykałem tam Profesora. Czasem przyjaciele razem wychodzili z Wydziału, udając się do domów przez Pole Mokotowskie, w połowie którego ich drogi się rozchodziły.

Po przejściu na emeryturę Profesor zdecydował zamknąć matematyczny rozdział swojego życia. Wyraził to w liście rezygnacyjnym z członkostwa w Polskim Towarzystwie Matematycznym w 2007 roku (do 2006 regularnie opłacał składki). Skoncentrował się na tłumaczeniach literatury francuskiej³. Przytaczam nekrolog zamieszczony w portalu Instytutu Książki, bo są w nim informacje mniej znane w środowisku matematycznym, do którego adresowane jest to wspomnienie:

Choć czytelnicy znali go przede wszystkim z arcydziełnych przekładów dzieł Gustave'a Flauberta, Charles'a Baudelaire'a, Gérarda de Nerval, Auguste'a de Villiers de L'Isle-Adama czy Nicolasa Restifa de la Bretonne, Ryszard Engelking był także cenionym matematykiem: (...) Kariera tłumaczeniowa Ryszarda Engelkinga obfitowała w sukcesy. Otrzymał m.in. nagrody „Literatury na Świecie” za przekłady poezji (1993) i prozy (2005), był także laureatem Nagrody Specjalnej „Mamut” (2015), którą dwumiesięcznik ten przyznaje gigantom przekładu. Nominowany (wspólnie z Tomaszem Swobodą) do Nagrody Literackiej Gdynia 2014 w kategorii przekład na język polski za „Śnienie i życie Nerval”, w 2017 roku został laureatem tej nagrody za przekład „Skoły uczuć” Gustave'a Flauberta.

Spotkaliśmy się znów 6 maja 2021, w dniu pogrzebu mojego Szefa, a jego przyjaciela. Rozmawialiśmy chwilę. Zwróciłem się z prośbą o korekty i uzupełnienia wspomnienia o ABB przygotowanego dla czasopisma PAN "Nauka". Wymieniliśmy kilka maili dotyczących dawnych czasów warszawskiej matematyki. Wiedząc, że uzupełniałem spis doktorantów Szefa w

³ Polecam bardzo ciekawy wywiad z Profesorem pt. „Zdania na czterech łapach” w książce: Zofia Zaleska „Przejęzyczenie. Rozmowy o przekładzie”. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2015.

[Mathematical Genealogy](https://www.mathgenealogy.org/), poprosił mnie o umieszczenie tam jego doktorantów. Wręczył mi kartkę z ich listą. Pod adresem <https://www.mathgenealogy.org/id.php?id=106476> znajduje się dziś komplet wypromowanych przez niego doktorów. Niedawno, gdy był chory, już przez córkę prosił mnie o numery telefonów kilku z nich. Byli dla niego bardzo ważni.

W październiku 2021 odwiedziłem Profesora w tym samym mieszkaniu, co przed pół wiekiem. Rozmawialiśmy w tym samym pokoju; tak jak przed laty żona Profesora podała nam herbatę. Profesor przekazał mi teczkę z kilkoma zdjęciami i tekstem o swoim mistrzu, profesorze Kazimierzu Kuratowskim. Od tamtej wizyty w korespondencji porzucił oficjalną formę na rzecz “Drogi Panie Stefanie”, co odebrałem jako bardzo sympatyczny zaszczyt. Dla mnie nadal pozostał Profesorem. Na przełomie lat 2021/22 korespondowaliśmy elektronicznie.

Namawiałem Profesora usilnie, żeby odwiedził Wydział podczas spotkania emerytowanych pracowników wiosną 2023 r. Nie czuł się już na siłach; wtedy dowiedziałem, że jest poważnie chory. Rozmawialiśmy dość długo przez telefon na dwa tygodnie przed jego śmiercią. Wydał mi się w świetnej formie intelektualnej; wspominał zajęcia z Topologii I* na których przeprowadzał “konkurs piękności” redakcji prac domowych. Nagrodą była książka Profesora z autografem. Laureat – Piotr Hoffman – zachował ją jako cenną pamiątkę, choć od dawna nie jest profesjonalnie związany z matematyką. Zajęcia z Profesorem wspominał jako jedne z najprzyjemniejszych na studiach. Jestem pewien, że takich studentów i doktorantów było bardzo wielu. Pięknie i trafnie scharakteryzował Profesora anonimowy student w portalu Wydział MIM UW Wiki:

Postać i osobowość Profesora Engelkinga są całkowicie niepowtarzalne. Uczestniczyłem w wykładzie i ćwiczeniach, pamiętam niesamowite wrażenie, jakie na całej grupie potrafiły zrobić maniery (matematyczne, to nie żart!), humor czy wiedza Profesora. (...) Nie da się opowiedzieć w tym miejscu specyfiki tych zajęć, atmosfery ćwiczeń, pewnej... kultury matematycznej, której na próżno szukać na innych zajęciach.

W kilka dni po ostatniej rozmowie telefonicznej, znów przez córkę, Profesor zaprosił mnie i moją żonę, żebyśmy go odwiedzili. Nie zdążyliśmy. Żegnam Profesora z bardzo wielkim smutkiem.

Profesor spoczął dnia 4.XII 2023 na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, kw. B 17-2-29.